Zawieruszona miłość

Jest to jedna z tych naszych historii, która wydarzyć się mogła, ale niekoniecznie musiała. Mogła, albowiem to nic szczególnego na przeszło siedem miliardów istnień ludzkich, nie musiała zaś, ponieważ to „tylko" siedem miliardów. Jakiekolwiek jednak byłyby tutaj przytoczone dane statystyczne, argumenty „za" i „przeciw", jedno wydaje się być pewne: ta historia się wydarzyła! A wydarzyła się na tyle, na ile jesteśmy skłonni i zdecydowani w nią uwierzyć. Poza tym, tak naprawdę, to ona dzieje się zawsze. Dzieje się w nas samych. Dzień po dniu. Dzień po dniu. Dzień po...

Niebo tego dnia nie było pochmurne. Słońca jednak również nie było, co nadawało wszystkiemu dookoła odcień szarości i smutku. Tutaj, w tym miejscu, ów odcień był szczególnie wyraźny, łatwo dostrzegalny. To miejsce niejako „żyje" smutkiem i tęsknotą.

Autobus podjechał pod samą bramę. Z jego wnętrza wysypał się wężykiem tłum ludzi. Jedni przystanęli w milczeniu przerzucając niespokojny wzrok to tu – to tam, inni znów cicho coś między sobą szeptali, jakby w największej tajemnicy – nawet przed zmarłymi. Jednak oczy ich wszystkich, podobnie jak również niebo, pozbawione było blasku – blasku radości, szczęścia, życia.

Czterech mężczyzn zarzuciło sobie trumnę na ramiona i równym krokiem ruszyło przed siebie. Przekroczyli bramę i weszli w główną alejkę cmentarza. Za nimi, bezładnie, ale bezładem rozumnym, logicznym, ruszył kondukt. Szli między szpalerem potężnych i sędziwych akacji, o tej porze roku jeszcze nagich. W połowie alejki skręcili w lewo, po chwili

doszli do kwatery, w pobliżu której stało kilku osobników w roboczych ubraniach; oczy ich szkliły się jak tafla wody, po której pełgają raz za razem refleksy słońca. W następnym momencie trumna wylądowała na ziemi, a głos zabrał ksiądz. Powiedział, co wiedział, czyli nic nowego, po czym stojący dotąd na uboczu mężczyźni, podeszli do trumny i opuścili ją po sznurach do wykopanego wcześniej dołu; potem ksiądz rzucił garść ziemi na trumnę i przeżegnał się; kilka osób powtórzyło tę czynność, a „cmentarni ludzie" poczęli wypełniać grób ziemią.

Nieopodal, trzy groby dalej, siedział na ławce starszy mężczyzna. Siedział przez cały czas trwania pogrzebu, wpatrzony nieruchomo w jakiś odległy punkt wiadomy chyba tylko sobie. Gdy grabarze zakończyli swoją pracę, a żałobnicy poczęli składać na mogile oznaki swojej pamięci – kwiaty, wiązanki i wieńce, spojrzał w ich stronę. Jego wzrok jednak sprawiał wrażenie nieobecnego. Już chciał ponownie przenieść go w świat swoich myśli, gdy nagle coś przyciągnęło jego uwagę, jakby nagle dostrzegł coś intrygującego. W towarzystwie dwu starszych kobiet, spowita od stóp do czubka głowy w żałobny kir, stała... Tak, to była ona. Nie płakała, ale jej twarz wyrażała więcej niż łzy. Obserwował ją. Wyraz jego twarzy zmienił się: apatyczną obojętność zastąpiło teraz niewytłumaczalne ożywienie. „Anna – pomyślał. – Czy to naprawdę ty?" Nie mógł jeszcze uwierzyć. Nie, nie to, żeby nie był pewny – nie miał wątpliwości że to ona. Poznałby ją zawsze i wszędzie – bez względu na okoliczności i zmiany, jakie poczyniłby czas. Tutaj upłynęło prawie pięćdziesiąt lat od ich ostatniego spotkania, a mimo to jej twarz nadal zachowywała

młodzieńcze rysy. Czas w jej przypadku był jedynie wewnętrznym zegarem biologicznym, który informował o tym, że i on kiedyś przestanie bić, ale dopóki bić nie przestawał, ten wymiar, na którego był usługach, nie był dla niej aż tak bardzo groźny i upiorny jak dla innych. Nie wiedział, czym to jest powodowane – czy litością czasu, czy też przyjaznym, niemal bliźniaczym z nim współżyciem, czy też może jakąś niewytłumaczalną jego wyrozumiałością dla jej osoby. Wiedział jedynie, że minęło prawie pół wieku, że ona tutaj jest i że... „Anno" – szepnął i w tej samej chwili zamilkł, jakby przestraszył się własnego głosu.

Pogrzeb dobiegł końca. Wszyscy w milczeniu ruszyli w drogę powrotną; ciągnęli tym samym szlakiem, który ich tu przywiódł; szlakiem, który, może nie wszyscy, ale niektórzy na pewno niejasno zdawali sobie z tego sprawę, jeszcze nie raz ich tutaj przyprowadzi, jeszcze nie raz przyjdzie im na ten trakt wstąpić; a oni będą go cierpliwie pokonywać – raz za razem, jakby uczestnicząc w przygotowywaniu tej ścieżki niejako dla siebie. Będą pokonywać ją aż do chwili, kiedy już nie będzie żadnej drogi powrotnej. Będzie istniała tylko ta jedna jedyna – bez najmniejszej możliwości powrotu.

On również wstał i ruszył za resztą. Nie wiedział jeszcze jak to zrobi, ale był przekonany, że zrobić musi tak czy inaczej – musi się z nią spotkać. „Spotkać? – pomyślał. – Ale po co? Na co? Czy jest sens? Minęło w końcu tyle lat..." Lecz w następnej chwili wątpliwości go opuściły i był przekonany, że musi to zrobić. Że zrobi to – choćby dla świętego spokoju.

Gdy żałobnicy dotarli do bramy, poczęli się rozchodzić. Jeszcze tylko jeden pocałunek, ostatni uścisk,

jakaś zabłąkana, nie wylana wcześniej łza i wszyscy już powracali do codziennych swoich zajęć – do miłości, nienawiści, do ustawicznej walki z samymi sobą, z innymi. Wracali do walki o przetrwanie.

Schodziła razem z innymi w dół, do głównej drogi. On posuwał się w na tyle bezpiecznej odległości, by nie rzucać się w oczy. W końcu dotarli do celu: on do przystanku, ona z innymi do zaparkowanego przy cmentarzu samochodu. Następnie podjechał autobus, a on do niego wsiadł. Raz jeszcze spojrzał w jej kierunku, po czym zajął miejsce. Po kilkunastu minutach był na dworcu, skąd ostatnim pociągiem wrócił do siebie.

Przez kilka następnych dni dużo o tym myślał, lecz nie dawał znać o sobie, nie próbował się do niej zbliżyć. Wiedział, czym jest śmierć kogoś bliskiego – rozumiał cierpienie. Milczał. Jednak po dwóch tygodniach, na początku kwietnia, ponownie zjawił się w Kielcach. Od śmierci Marii robił to regularnie – w każdy czwartek. W ubiegły nie było go po raz pierwszy. Mimo że chciał przyjechać – powinien przyjechać! – skończyło się na dobrych chęciach. Wiedział, że wtedy starałby się zobaczyć Annę, a tego właśnie robić nie chciał – przynajmniej nie teraz. Rany po śmierci męża były jeszcze zbyt świeże, a on nie chciał ich rozdrapywać. Dlatego wolał zrezygnować z przyjazdu, chociaż uważał, że te odwiedziny był Marii winien, należały się jej. Należały? Dlaczego? Z miłości? Przez długi czas myślał, że tak, ale od momentu, kiedy był tutaj po raz ostatni, wiele się zmieniło – pojawiły się wątpliwości. Nie był już tak pewny jak dawniej, dlaczego to robi. Z miłości, czy może raczej... z poczucia obowiązku? Przywiązania, jakie odczuwał do niej, kiedy żyła? Szacunku,

jakim ją darzył? Nie wiedział tego. Teraz już nic nie było tak proste i przejrzyste jak dawniej, jak przedtem, zanim... zanim zobaczył ją – Annę. Teraz było tak, jakby stare głębokie uczucie do niej nagle odżyło. Nie wierzył, żeby akurat tak się stało, ale jednak coś było nie tak – odczuwał silne pragnienie zbliżenia się do niej. Po co? Na co? Dlaczego? Z tego również nie zdawał sobie jeszcze jasno sprawy. Ale pragnął tego. Bardzo.

Po drodze kupił kilka konwalii i narcyzów i obok hali widowiskowo-sportowej wsiadł w autobus, jadący na cmentarz. Zajął miejsce przy oknie; autobus ruszył; wjechał na rondo i skręcił w ulicę Ogrodową; przejeżdżali teraz obok parku miejskiego. W jego głębi, za drzewami kasztana, jaśniał swoimi murami pałacyk Tomasza Zielińskiego. Dojechali do skrzyżowania i kierowca skręcił w ulicę Jana Pawła II. Minęli jeszcze Wojewódzki Dom Kultury i autobus zatrzymał się obok stadionu piłkarskiego. Adam wysiadł. Szedł teraz wzdłuż murów cmentarza partyzanckiego, następnie komunalnego; potem przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął się wspinać po kamienistej drodze w górę; na jej horyzoncie usytuowany był jeszcze jeden cmentarz – ten właśnie, do którego zmierzał. Dotarł do niego i wszedł pierwszym jego wejściem. Po chwili był na miejscu. Zapalił świeczkę i powkładał kwiatki do butelek, które kiedyś obłożył miękkim papierem i pomalował bejcą, nadając im tym samym wygląd kory drzewnej. Usiadł na ławce. Patrzył na niedużą fotografię Marii na płycie nagrobnej. „Mario – pomyślał – brak mi ciebie. Wiem, że jesteś tutaj i słyszysz mnie...” Jego myśli zakłócił nagły hałas. Rozejrzał się dokoła i... Tak, to była ona – krzątała się przy tamtym grobie. Podniósł się z miejsca, lecz

zaraz usiadł z powrotem. Od dawna nie przeżywał podobnej huśtawki emocjonalnej. Zachowywał się jak uczniak. „A jak mnie nie pozna? – pomyślał. – Prawie pół wieku to szmat czasu, może nie poznać. Co wtedy?” Zanim jednak odpowiedział sobie na to pytanie, szedł już w jej kierunku. Teraz rozsądek, rozwaga, mądrość – to były tylko puste pojęcia, które nic nie znaczyły. Stracił kontrolę nad tym, co ma zrobić, co myśleć, wiedział tylko, że nic nie może go powstrzymać przed tym, co się właśnie dokonywało.

Była odwrócona do niego tyłem, dlatego nie zauważyła jego nadejścia. Nie chciał jej wystraszyć, więc obszedł grób u jego wezgłowia i stanął naprzeciwko niej. Przez chwilę obserwował ją jak pracuje, potem pochylił się i odrzucił zeschłą gerberę z pogrzebowej wiązanki. Wtedy uniosła głowę i spojrzała na niego. Wyprostowała się.

– Przepraszam, ale pan chyba pomylił...

– Anno – przerwał jej.

– Słucham...?

– Anno. Ty...

– Adam...?

Uśmiechnął się.

Nie wypowiedzieli więcej ani słowa. Stali tylko i patrzyli na siebie. Mimo upływu prawie pięćdziesięciu lat od ostatniego spotkania ich oczy wydawały się takie jak dawniej, jakby nic nie straciły ze swego blasku. Pierwsza odezwała się ona:

– To mój mąż – wskazała głową na grób. – Przepraszam, to był mój mąż – poprawiła się.

Skinął głową. Ponownie zapadło milczenie. Tym razem jednak krótsze.

– Nie wiem, co powiedzieć – zaczęła po chwili Anna. – Jestem...

– Widziałem cię – przerwał jej. – Dwa tygodnie temu.

– Dwa tygodnie – powtórzyła.

– Tutaj.

Nic nie odpowiedziała. Jakby wiedziała, że on jeszcze nie skończył, zachował coś ważnego – coś, co zaraz dopowie.

– Tam jest grób mojej żony – uniósł rękę i prawie natychmiast ją opuścił. Jakby się tego gestu zawstydził.

– Mieszkaliście...

– Nie. Żona urodziła się tutaj. Chciała też w tym mieście odejść.

– To ładne miasto – powiedziała po chwili Anna.

– Tak – odparł Adam. – Nieraz mi to powtarzała. Kochała je.

Ponownie zamilkli.

„Adam. Więc to jesteś ty – tak wyglądasz – pomyślała. – Zmieniłeś się. O Boże!, ależ jesteś głupia, Anno. Głupia! Mówisz tak, jakby inni się nie zmieniali mimo upływu czasu. Jakbyś ty się nie zmieniła! Czas nie ma litości dla nikogo, wiesz o tym. Tylko że jedni biernie mu się poddają, inni natomiast próbują się do niego zalecać. Ale on jest bezwzględny. Bezwzględny! Dla wszystkich.”

Od północy nadciągały ciemne chmury. Cmentarz o tej porze szary, bezbarwny, pogrążył się w szarości jeszcze bardziej, głębiej.

„Jeżeli mnie teraz – dzisiaj nie zaprosi – pomyślał Adam – to nie będę mógł...”

– Będzie deszcz – powiedziała. – Przepraszam cię, muszę dokończyć.

– Pomogę ci. – Ich oczy ponownie się spotkały.

– Nie chciałabym...

– Nie ma o czym mówić.

Skinęła głową. Miała jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Prawdę mówiąc nie chciała, żeby odchodził. „Nasze pierwsze spotkanie po prawie pół wieku od rozstania tak miałoby się zakończyć? – pomyślała. – Nie, to niemożliwe. Muszę z tobą porozmawiać, Adam. Wyjaśnić... Wyjaśnić? Czy jest sens cokolwiek jeszcze wyjaśniać? Komu? Po co? Minęło przecież tyle lat. Tyle...”

Grób był jeszcze świeży – nie było wiele do zrobienia. Wymieniła wodę w przebranych kwiatach, a on poszedł wyrzucić wypalone znicze. Przez cały czas pracowali w milczeniu, od czasu do czasu ukradkiem spoglądając na siebie – jedno ciekawe drugiego.

– Zdążyliśmy – odetchnęła z ulgą. – Dziękuję.

– Tak. Zdaje się, że lada moment lunie.

– Więc pośpieszmy się – powiedziała i ruszyła alejką w stronę bramy. – Zaprosiłabym cię do siebie, ale rozumiesz, sąsiedzi...

Spojrzał na nią. Przez chwilę wpatrywał się w jej profil nie wiedząc właściwie, co myśleć, co powiedzieć. Jej ostatnie słowa zbiły go z tropu, czyniąc w jego umyśle dziwną pustkę. Poczuł się niepewnie.

– Ale, naturalnie, możemy wybrać się gdzieś, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał – powiedziała po chwili. – Gdzieś, gdzie można w spokoju i ciszy porozmawiać. Znam takie miejsce.

Opuścili cmentarz.

II

– Powiedziałeś, że widziałeś mnie wcześniej. Tam – na cmentarzu.

Skinął głową.

– Dwa tygodnie temu.

– Dwa tygodnie – powtórzyła.

– To było na pogrzebie – odparł. – Na pogrzebie twojego męża.

Uniosła szklankę i pociągnęła łyk ciepłej herbaty.

– Nie widziałam cię. Zresztą, w tamtym dniu nic nie widziałam, nic do mnie nie docierało. Byłam jakby odizolowana od świata zewnętrznego. Wiem tylko, że podtrzymywały mnie przyjaciółki, żebym przypadkiem nie upadła.

Ponownie zamilkli.

– Szukałam cię – powiedziała po dłuższej chwili Anna.

– Ja też ciebie szukałem – odparł Adam. – Najpierw przez Czerwony Krzyż, potem już tylko indywidualnie. – Pokręcił głową. – Nigdzie nie natrafiłem na twój ślad. Choćby najmniejszy.

– Pięć lat po wojnie wyszłam za Janka.

Nic nie powiedział.

– Nie mogłam dłużej czekać, łudzić się...

– Łudzić się?

– Byłam sama, a czasy były niespokojne, ciężkie – wiesz o tym. Poza tym nie dawałeś znaku życia. Potem ktoś mi powiedział, że widział cię w Tarnopolu, w transporcie. Mieliście jechać na wschód. Wiedziałam, co to znaczy. Co

miałam robić?

– Anno, ja przecież nie mam pretensji...

– Musiałam ci to powiedzieć. Żebyś nie myślał, że ja... – zawahała się. – Kochałam cię! Nawet wtedy, gdy wychodziłam za mąż za Janka, kochałam nadal tylko ciebie.

„Ja też ciebie kochałem, Anno – pomyślał. – Kochałem?” – zastanowił się – i powiedział:

– Mam nadzieję, że byłaś chociaż szczęśliwa.

– Tak. Myślę, że tak.

Teraz już nie unikali swojego wzroku, nie uciekali przed nim. Patrzyli na siebie, jakby chcieli nawzajem nasycić się własnym widokiem; jakby pragnęli uważnie prześledzić, zmarszczka po zmarszczce, kolejne lata spędzone bez siebie; lata, które należały się im i ich miłości, ale które nie dane im było razem przeżyć; lata, które nigdy i niczego już nie wrócą, ponieważ odeszły na zawsze.

– A ty – podjęła po chwili Anna – czy ty byłeś szczęśliwy?

Adam spojrzał w okno, za którym nie było nic widać prócz deszczu: po szybie spływała jednolicie woda, złudnie przypominając lekko falującą taflę jeziora.

– Czy byłem szczęśliwy? – powtórzył i ponownie przeniósł wzrok na Annę. – Sądzę że... Może tak, pod warunkiem, że ktoś mi poda definicję szczęścia. Wiem jedno: nigdy nie opuściły mnie wątpliwości i związany z tym niepokój. Jakby pewien niedosyt, czy też może raczej jakieś niespełnienie. Ale to chyba każdego dręczy – próbował zbagatelizować ciężar ostatnich słów.

Podeszła kelnerka; przyniosła wcześniej zamawiane ciastka tortowe.

– Dziękuję – powiedział Adam.

Dziewczyna wdzięcznie uśmiechnęła się i odeszła.

– Przyjemnie tutaj jest – odezwał się po chwili Adam.

– Lubię to miejsce – zgodziła się z nim Anna. – Jedno z niewielu dzisiaj, gdzie jeszcze można cicho i spokojnie napić się herbaty i porozmawiać. Na dodatek nie wąchając smrodu z papierosów.

Adam sięgnął po filiżankę z kawą.

– Czasy się zmieniają, Anno – powiedział. – I chyba na gorsze. Nie pasujemy do nich.

Uśmiechnęła się jakoś smutno i nostalgicznie. Zauważył to.

– Ale ty zawsze jesteś młoda. – Uśmiechnął się. – Mimo upływu czasu.

– Dobrze, dobrze. – Odwzajemniła mu uśmiech. – Zjedz lepiej ciastko – jest wyśmienite.

Odciął kawałek ciastka łyżeczką i włożył go do ust.

– Rzeczywiście – powiedział po chwili. – Miałaś rację.

– Smakuje ci?

– Wyśmienite! Dawno takiego nie jadłem.

– Nie wiem, skąd oni je przywożą, bo chyba sami raczej nie robią. Chociaż, kto wie?

– Smakują jak domowe wypieki – zauważył.

– Gdybym sama jeszcze piekła, zapytałabym. Niestety, dla siebie samej nie chce mi się już nawet zrobić drożdżówki, a co dopiero mówić o czymś wymyślniejszym.

– Drożdżówka – powtórzył za nią Adam, a w jego głosie dało się wyczuć nutę nostalgii.

– Słucham?

– Pamiętam drożdżówkę twojej mamy. Była doskonała. Zajadaliśmy się nią, jak króliki marchewką.

– Pamiętasz. – Uśmiechnęła się. – Najlepsza była wtedy, gdy postała kilka godzin po upieczeniu.

– Tak, wtedy była najlepsza.

– Tylko że nigdy nie pozwoliliśmy jej na to.

Zaśmieli się. Po dłuższej chwili Anna powiedziała:

– Nie powiedziałeś mi jeszcze, jak się stamtąd wydostałeś. O ile wiem, niewielu stamtąd wracało.

– Tak, to prawda. Mnie się jakoś udało. Dzisiaj, jak pomyślę o tym, co zrobiłem, żeby przeżyć i być teraz tutaj, nie mogę uwierzyć. Ale człowiek był młody, bardziej szalony niż odważny, więc ucieczka z jakiegokolwiek miejsca nie wydawała się tak straszna i niewykonalna.

– Mogli cię złapać.

– To prawda. Ale nie myślałem wtedy, że może mi się nie udać. Zresztą, cóż innego mogło mnie tam czekać? Mogli mnie w najlepszym przypadku jedynie zabić. I to tylko raz. Czego jak czego, ale tam ludzi zawsze był dostatek.

– Powiedziałeś, że w najlepszym wypadku mogli cię jedynie zabić. Chyba w najgorszym.

– W najlepszym. Śmierć wyzwalała. O wiele gorsze było tam życie. Zima i praca na Syberii dla takich jak my, „niezwyczajnych” takich mrozów, to również śmierć. Więc raczej nie miałem dużego wyboru. A jednego byłem pewien: nie chciałem tam umierać. W ogóle nie chciałem umierać. Nigdzie. Byłem młody i chciałem żyć! To wszystko. No i ty... – Nie dokończył; ale też i nie musiał tego robić – patrzyli na siebie i rozumieli się bez słów. Jak dawniej. Przed pięćdziesięciu laty. – Na szczęście nie złapali mnie – po

chwili kontynuował Adam. – Nie znałem dobrze ich języka, więc pomyślałem sobie, że najlepiej będzie udawać niemowę. A jeszcze lepiej niemowę głupka. Tym sposobem udało mi się dotrzeć do naszych wschodnich kresów. Tutaj, to już byłem u siebie. Oczywiście, było niebezpiecznie, i to nie raz, ale widocznie urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. No i dobrzy ludzie też pomogli – chociaż ryzykowali strasznie. Ja odchodziłem – oni zostawali, mieli tym samym więcej do stracenia. A jednak pomagali. Chyba tylko to podtrzymywało mnie na duchu i nie pozwoliło mi zwątpić do końca w człowieka. Gdyby nie to... – Urwał i nagle zamilkł.

Trwali tak przez dłuższy czas w milczeniu, każde pogrążone w swoich odrębnych myślach, ale jednocześnie jakby jakoś przez te myśli właśnie ze sobą powiązani, bliscy sobie. Potem spojrzeli na siebie i Anna, ni z tego ni z owego, niespodziewanie spytała:

– Masz dzieci?

– Nie. Chciałem adoptować, ale Maria wierzyła, ciągle łudziła się, że zdoła urodzić. A wtedy, jak mówiła, nie potrafiłaby kochać obydwojga dzieci jednakową miłością. Bała się tego. Bała się, że się nie sprawdzi jako matka. Dlatego nie zdecydowaliśmy się na adopcję. A gdy jej ciąża oddalała się coraz bardziej i bardziej, okazało się nagle, że jest już za późno. Zauważyliśmy, że jesteśmy zbyt starzy.

– Starzy – powtórzyła cicho Maria.

– Tak, starzy – przytaknął Adam.

– Ja miałam dziecko – zaczęła po chwili Anna. – Syna.

– Miałaś?

Spuściła głowę.

– Miał dwadzieścia trzy lata gdy umarł. Na białaczkę.

– Anno...

– Proszę, nic nie mów. Nie trzeba.

Po jej twarzy spływały teraz wolno, bardzo wolno pojedyncze łzy, które w następnej chwili połączyły się i spadły w dół – na czarną spódnicę.

– To nic, przejdzie. To zaraz przejdzie.

Wyjęła z torebki chusteczkę i otarła nią mokre policzki.

– Minęło tyle lat, a ja nadal nie mogę się z tym pogodzić. To jest ode mnie silniejsze. Po prostu silniejsze.

Ponownie zamilkli. Tym razem na dłużej. Mogli sobie powiedzieć jeszcze wiele, bardzo wiele, ale lokal powoli pustoszał. Anna zauważyła to i spojrzała na zegarek.

– Dwudziesta. Mój Boże, jak ten czas...

Przerwał jej:

– Spotkamy się jeszcze?

– Adam...

– Nie musisz mi teraz od razu odpowiadać.

– Ja nie wiem, czy...

– Dobrze, nic nie mów. Porozmawiamy o tym później. A teraz chodźmy. Odprowadzę cię kawałek po drodze na stację.

– Tak. Chodźmy.

III

Za tydzień również się spotkali. Potem znowu i znowu, i jeszcze raz; aż nadszedł maj – zakwitły bzy i kasztany i miejsce ich potajemnych spotkań – cmentarz, jakby

dzięki temu się ożywił. Teraz był on niejako ich drugim „domem”, cichą przystanią, w której mogli się skryć przed ciekawskimi i wścibskimi oczami świata. Inni powiedzieliby może nawet, że to „miejsce schadzek”, ale to nie było ważne. Po prostu to, co kiedyś między nimi było, odżyło na nowo, to wszystko. Początkowo bali się do tego przyznać – najpierw przed samymi sobą, później już wobec siebie, jakby się tego wstydzili, krępowali. Jednak wraz z upływem czasu po tamtych odczuciach nie było nawet śladu. Kochali się i nic poza tym nie było ważne, nic więcej się nie liczyło. Ani to, że byli „świeżymi” wdowcami, ani też to, co powiedzą inni, czy nawet to, że rodziny mogą się od nich odsunąć, wyrzec ich. Nic, po prostu nic się nie liczyło. Wiedzieli, że utracili razem coś, co już nigdy nie powróci, nie da im szansy powtórzenia przeżycia tego raz jeszcze – inaczej, lepiej. Dlatego postanowili nie rezygnować przynajmniej z tego, co dobry los zesłał im obojgu na kres ich wędrówki przez życie: z siebie! Z siebie zrezygnować nie mogli. I nie chcieli. Teraz zresztą już nawet i nie potrafili.